

сами о собі ■
сами о себе ■
самі про себе ■
самі пра сябе ■

samiosobie

miesięcznik społeczno kulturalny / 157 / grudzień 2021



Pamiętajmy o Sybirze

Tuż przy wejściu do nowo otwartego Muzeum Sybiru w Białymstoku stoi rzeźba Matki Sybiraczki z dwójką dzieci uczepionych spódnicy i trzecim na rękę. Jest hołdem oddanym także mojej babci, prostej

kobiecie z podhajnowskiej Łosinki, **Nadziei Niesteruk**. Ani rzeźba, ani samo usytuowanie muzeum, tuż obok dawnego Dworca Poleskiego, nie są przypadkowe. Kobiety i dzieci stanowiły blisko trzy czwarte wszystkich zesłanych na Sybir, a pociągi z zesłańcami na Wschód odjeżdżały z Białegostoku właśnie z tego dworca.

Ten z trzypokoleniową rodziną moich przodków wyruszył z Hajnówki. Był rok 1940, tak ze dwa tygodnie przed prawosławną Wielkanocą. – Za co nas wywożą? Za dużo mieliśmy ziemi? A może dlatego, że nie zgodziliśmy się, żeby w naszym domu była sowiecka szkoła? – gubili się w domysłach, a przysłowie *tiurmy i sumy nie wyrekajsia* stało się od tej pory naszym rodzinnym porzekadłem.

Przed wyjazdem musieli trochę poczekać w Hajnówce – inaczej nie dowiedziałyby się o wywóźce mama babci, prababcia Katarzyna. A zdążyła się pożegnać, dotarła na stację ze Starego Berezowa.

– *Nadiu, ostaw, tego najmniejszego ostaw* – prosiła babcię, ale ta nie chciała rozstać się z najmłodszym synkiem **Kołą**. Koła na Syberii zmarł. Pozostał na zawsze w syberyjskiej ziemi, później dołączyła do niego siostrzyczka **Mania**, w końcu także moja prababcia Anisja. Na północy Kazachstanu, w Zaimce, mamy trzy rodzinne groby.

Do muzeum wyruszyłam więc z bagażem rodzinnych wspomnień. Ale i ze świadomością tego, jak to trafnie ujęła prof. **Wiktoria Śliwowska**, że „nie jest dobrze, kiedy dominuje – zarówno jednostkowa



jak i zbiorowa – zła pamięć i złe doświadczenie. Dzieje się tak zawsze z krzywdą dla pamiętającego i doświadczonego, zubaża zarówno pamiętanych jak i doświadczanych”.

Muzeum Sybiru otwarto 17 września z udziałem prezydenta **Andrzeja Dudy** i innych wysoko postawionych osób w państwie. To duża, położona na trzech poziomach, na ponad dwóch tysiącach metrów kwadratowych, zorganizowana z rozmachem, placówka. Jak w każdym narracyjnym muzeum, a więc takim, gdzie widz przeprowadzany jest przez ekspozycje jak przez fabularną opowieść, jego twórcy sięgnęli po różne formy multimedialne, inspirując się zarówno Muzeum Powstania Warszawskiego, ale także Muzeum Emigracji w Gdyni czy krakowską Fabryką Schindlera. Przewodnym motywem pozostaje przymusowa droga na Sybir, życie na zesłaniu, powrót do domu. Ale choć do muzeum wchodzi się przez stojący na rampie wagon – to nie od wywózki rozpoczyna się muzealna narracja, a od powstania niepodległego, po 123 latach zaborów, polskiego wielonarodowościowego państwa, którego władze skierowały w latach 20. na Kresy dziesięć tysięcy osadników wojskowych, także leśników i policjantów z centralnej Polski. Wielonarodowościowy był i Białystok, na jego ulicach oprócz polskiego można było usłyszeć jidysz, rosyjski, niemiecki, białoruski. Możemy przejść się po wybrukowanym rynku, usiąść w kawiarni w hotelu Ritz. I szybko się przekonać, że w tej muzealnej opowieści oprócz wystawionych sześciuset eksponatów (to zaledwie jedna dziesiąta zbiorów) nie mniejszą rolę odgrywają relacje świadków, projekcje kronik filmowych, a nawet filmów fabularnych. Pomagają zbudować napięcie, a dramaturgia narracji wraz z wybuchem wojny rośnie. Przypominają o wielkiej polityce na górze, prezentują jej skutki na dole.



Plany deportacji polskich obywateli zostały przygotowane przez władze radzieckie już w końcu 1939 roku.

W sumie w latach 1940-1941 wywieziono w głąb ZSRR 320-330 tys. obywateli polskich (żeby skala represji była pełna, należy pamiętać o 70 tys. więźniów po-

litycznych, zesłanych do łagrów i ponad 138 tys. osób przymusowo przesiedlonych do innych republik radzieckich).

10 lutego 1940 roku, w pierwszej deportacji, wywieziono głównie leśników, osadników wojskowych, urzędników państwowych i kolejarzy (140 tys. osób). W drugiej, tej z 13 kwietnia 1940 roku, przeważały rodziny uwięzionych wcześniej oficerów (w tym zamordowanych w Katyniu), także ziemianie i policjanci (61 tys. osób), w trzeciej, do której doszło 29 czerwca, dominowali Żydzi, uchodźcy z niemieckiej strefy okupacyjnej (79 tys. osób). W czwartej, z maja i czerwca 1941 roku, deportowano osoby nazwane w rozporządzeniu wydanym przez Berię „elementami społecznie obcymi” (52 tys. osób), a przy tak

pojemnej formule trafić na Syberię mógł każdy.

Wśród zesłanych obywateli polskich Polacy stanowili od 53 do 57 proc., Żydzi od 20 do 23, Ukraińcy od 9 do 12, Białorusini od 8 do 11. A to oznacza, że udział Polaków w deportacjach był proporcjonalnie niższy niż ich odsetek w przedwo-

jennym społeczeństwie (około 67 proc.). Jednocześnie udział represjonowanych na Syberii Żydów i Białorusinów był ponad dwukrotnie wyższy niż ich odsetek w przedwojennym społeczeństwie. Te dane podaję za **Wojciechem Konończukiem**, autorem książki „Sztuka przetrwania. Deportacje sowieckie z powiatu bielskiego (1940-1941)”. A przytaczam dlatego, bo dobitnie pokazują, że syberyjski ból jest wspólnym bólem.

Każda deportacja przebiegała według tego samego schematu – walenie do drzwi nocą lub nad ranem, krótka rewizja i krótki czas na spakowanie się, potem długa podróż w zatłoczonych bydlęcych wagonach. W muzeum można obejrzeć i pokój przesłuchań, i zajrzeć do wnętrza ciepłuszki, prymitywnie zaadaptowanego do przewozu ludzi wagonu towarowego, obejrzeć zabierane rzeczy, usłyszeć stukot kół, popatrzeć przez dwa małe okna na przesuwane się krajobrazy. Posłuchać wspomnień...

Co zabierali deportowani? Pościel, kapy, odzież, czasami maszynę do szycia, nożyce, miski, ale i skrzypce, cytrę, modlitewniki, medaliki, cenne rodzinne pamiątki.

Moja babcia kołyskę, *chozajka woźmi etu lulku* – poradził jej enkawudzista, gdy w pośpiechu pakowała płachty, narzuty, kożuchy. A pradziadek Jakub – *Jewangielije i Psaltry*, bo z nimi nie rozstawał się nigdy i z nimi do rodzinnej wsi wrócił.

Metą ich tułaczkiej wędrówki była stacja Smirnowo (to od położonego 2956 kilometrów od Białegostoku Pietropawłowska dodatkowe pięćdziesiąt kilometrów na południe). Nie powitały ich lasy tajgi – te zostały na północy, ani też zamieć śnieżna – dotarli przecież 28 kwietnia, akurat na prawosławną Wielkanoc. Ale oznakowanie zakończenia torów, ośnieżone drzewa smagane lodową *purgą*, nieskazitelna biel ogarniająca najwyższy poziom muzeum, dobrze symbolizują Syberię.

Deportowani nie byli pierwszymi przybyszami z naszych ziem. Chłopi z Kresów, Lubelszczyzny i Mazowsza na przełomie XIX i XX wieku wybierali się tu za chlebem, spokojnie pracowali i żyli (do dziś istnieją na Syberii dwie polskie wsie – Wierszyna i Białystok, a ich mieszkańcy zachęcali do przybycia kolejnych krajan).

Inni z powodzeniem rozwijali biznes. **Alfons Kozieli-Poklewski**, początkowo nadzorujący zaopatrzenie armii rosyjskiej w zachodniej Syberii, stał się w XIX wieku jednym z najbogatszych przedsiębiorców na Syberii. Prowadził szeroką działalność społeczną, zakładał żłobki, szpitale, sierocińce, bezpłatną jadłodajnię w Tobolsku, pomagając głównie popowstaniowym zesłańcom. Ich też zatrudniał w swoich zakładach, wykupując od ciężkich robót. Ufundował kilka kościołów i jedną cerkiew.

Różnie toczyły się losy carskich zesłańców, wielu z nich mogło tu na Syberii, w czasie katorgi, prowadzić działalność badawczą. Etnograf **Bronisław Piłsudski**, przyrodnik i podróżnik **Benedykt Dybowski**, geolog i paleontolog **Jan Czerski**, wnieśli duży wkład do rozwoju badań nad syberyjskimi ludami, fauną i florą.

Nieopodal odtworzonego gabinetu badacza w Muzeum Sybiru można obejrzeć wystawę poświęconą bieżącemu – jeszcze jednej odsłonie naszej obecności na Syberii.

I w końcu – deportacje lat 1940-1941. Połowa zesłanych trafiła do Kazachstanu, do pracy w kołchozach i sowchozach, albo przy wyrębie i spławie drewna.

Nie, nie zrekonstruowano typowej kazachskiej ziemianki, w jakiej mieszkali moi przodkowie, wkopanej do wysokości okien, o szerokich metrowych ścianach z darni i trawy i takim samym dachu, opartym na kruchej konstrukcji z karłowatych brzoźek i łoziny, w której szeroki parapet służył za stół, a piec i specjalne nary – do spania. Z klepiskiem wymazanym leśną gliną

zamiast podłogi. Wcześniej, przez chyba rok, Niesterukowie mieszkali w aule Karatał, pod jednym dachem z Kazachami, ale kiedy różnice kulturowe okazały się zbyt duże, razem z dwiema rodzinami z podhajnowskiej wsi Krzywa, Juszcukami i Sacharczukami, kupili na wpół rozwaloną leśniczówkę w chutorze Zaimka, gdzie oprócz trzech rosyjskich rodzin, które przybyły tu w ramach reformy Stołypina, mieszkało kilkanaście rodzin zesłańców.

W muzeum oglądam zdjęcia deportowanych przy pracy. Na jednym z nich mężczyźni ręcznie piłują drzewo. Tę pracę wykonywał mój dziadek **Aleksander**. Pracował w Smirnowie i tylko on dostawał kartki na pajki chleba. Gdy raz na tydzień odwiedzał rodzinę, kawałek przynosił dzieciom. Był to jedyny chleb, jaki na Syberii jedli.

Na innej fotografii – kobiety pracują w polu. Po moją babcie przyjeżdżał Kałmuk na koniu – cała rodzina znajdowała się pod specjalnym nadzorem NKWD – i prowadził na kołchozowe włości. Czasami wracała po dwóch, trzech tygodniach. Głód pojawił się wraz z wybuchem radziecko-niemieckiej wojny. Mężczyźni poszli na front i w kołchozie zabrakło męskich rąk do pracy. Zabrakło też części do traktorów i maszyn – przemysł pracował na potrzeby frontu. Ziemia, prawdziwy czarnoziem, rodziła dobrze, tyle że nie miał jej kto orać.

W kołchozie w czasie wojny nie płacono ani pieniędzmi, ani w naturze. Wszystko, co potrafiły zebrać kobiety, wędrowało na front.

Kiedyś babcia za czterdzieści robocznodniówek dostała czapkę ziarna. Żniwa w kołchozie trwały od lata do listopada. To nic, że śniegu było po pas. Odgarniano zaspy i koszone zboże, ale i tak jego część pozostawała na polu. Na przednówku babcia nawet z sadzeniaków wycinała same oczka. Na to, by śniegi ruszyły, czekali wszyscy. A te topniały gwałtownie. Woda zalewała ziemiankę, ze ścian

z pluskiem osuwała się darni, a domownicy siedzieli w miejscu gdzie dach stykał się z szeroką ścianą.

Kilka dni później wyruszyli w pole. Dorośli przeczesywali kartoflisko w poszukiwaniu zgnitych bądź zmrożonych kartofli, dzieci biegły na ściernisko. Bo wiosną podpalano niezebrane zboża, na polach zostawały podpalone kłosa. Choć nie można było ich zbierać, głód wygrywał z zakazem. Pół pilnowali Kazachowie na koniach, ale dzieci, z woreczkami na szyi i tak wyruszały na pole. „Jak cię Kazach będzie dopędzał, zrzuć worek z szyi, bo jak chwyci, to głowę może ukręcić” – uczyła babcia „I pamiętaj, uciekaj zawsze w stronę lasu”.

W niski, skartowaciały las Kazachowie nie wjeżdżali nigdy. Zatrzymywali się na obrzeżach, a dzieci – często po pas w topniejącym śniegu – czekały, aż odjadą.

A jakie straszne mrozy tam były, jakie straszne choroby, malaria, szkarlatyna, tyfus... O duchowym nie było nawet co marzyć. Ale wiara przetrwała. Ciekawe, że wieści o dacie Paschy docierały do Zaimki. – *A eta babuszka daże pokrestit' możeł* – szeptały dzieci na przerwach w szkole. A do zmarłego zawsze wołano pradziadka **Jakuba**, czytał Ewangelię, psalterz. Właściwie recytował z pamięci. Księgi trzymał tylko po to, by przewracać kartki.

A oto i kolejna zaaranżowana muzealna przestrzeń – kazachska szkoła. A więc w takiej ławce siedział tata, przy sąsiedniej jego przyjaciel Lonia Bondarenko. W latach 90. tata go odszukał, ale do spotkania nie doszło – Lonia zmarł.

W słuchawkach (zwiedzam muzeum z audioprzewodnikiem) słyszę o indoktrynacji dzieci, komunistycznym wychowaniu

Tak to prawda, zdjęcia Lenina i Stalina otwierały wszystkie (niekompletne) podręczniki, były i zajęcia z *wojennowo dieła* – rzuty atrapą granatu. – *No, sława Bogu, szto nas uczyli* – zawsze podkreślał tata, o **Eugeniusz Niesteruk**, wieoletni proboszcz parafii w Mielniku,



bo dzięki temu mógł skończyć studia. I z wdzięcznością wspominał nauczycielkę Polinę Iwanowną.

Podczas wojny brakowało nie tylko podręczników, nie było czym i w czym pisać. Bo zeszyty i ołówki, przysłane w paczce przez prababcię Katarzynę, dawno już zostały zużyte.

Gdy u listonosza **Sotniczenko** dzieci wyprosiły już wszystkie stare gazety, **Polina Iwanowa** wymyśliła bardzo karkołomny plan. Razem z dwoma najstarszymi chłopcami włamała się do zamkniętej na głucho buchalterii i wyniosła stamtąd stare kwity. To na nich dzieci odrabiały pracę domową, pisząc atramentem z buraków albo z sadzy z odrobiną mleka. Polina Iwanowa sprawdzała ją w drodze do szkoły, a potem kartki rwała w drobny maczek. A jak dokładnie musieli znać geografię – rzeki pokazywali stojąc plecami do mapy. Buntowali się trochę przy Sekwanie. – *Polina Iwanowa, Siena? Takoj ruczajok?*

Latem uczyli się w aule Karatał (dzieci kazachskie w osobnych klasach), zimą na miejscu – w Zaimce. Szkoła w Karatale była jedynym drewnianym budynkiem w najbliższej okolicy.

Kilkakrotnie razem z tatą uczestniczyłam w marszu Żywej Pamięci Sybiru. Zawsze burzył się, a ja po nim odziedziczyłam tę alergię, na słowa o „niehumanitarnej ziemi”. I z goryczą się dziwił, że w mowach nie usłyszał ani jednego dobrego słowa pod adresem rdzennych Sybiraków, często tak samo głod-

nych jak zesłańcy, ale pomocnych, otwartych, ciepłych... Żeby nie ich wsparcie, wróciłoby nas o wiele mniej, podkreślał.

Także ja, zwiedzając muzeum z audioprzewodnikiem nic o pomocy ze strony rdzennych Sybiraków nie usłyszałam.

A tata o nich pamiętał. Pamiętał nie tylko o Polinie Iwanownej, która uratowała od śmierci głodowej dzieci **Wasiluków** po tym, jak ich mama z odmrożonymi wszystkimi palcami rąk i nóg trafiła do szpitala, a one same próbowały zarznąć krowę, ale tylko pokaleczyły zwierzę.

Pamiętał i o listonoszu Sotniczenko, który rozwijając pocztę już z daleka krzyczał „Twój papa żyw, pochoronki niet”.

Czy o **Wasiliju Pawłowiczu Piel-tiaju**, po wojnie przewodniczącym kolchozu, który pomagał im pisać listy do Mikojana, a nawet Stalina, wszystkie z prośbą o powrót. Później wystawił dokument, że kolchoz może obejść się bez pradziadka Jakuba, babci Nadzi i trójki jej dzieci (dziadek Aleksander wrócił z frontu już do Łosinki), co być może ułatwiło im powrót. Bo Niesterukowie w 1946 roku nie mogli wrócić, babcia w rubryce narodowość zawsze wstawiała Ruska.

Pamiętał i o innym nauczycielu, tym spod Brześcia, bo gdy w 1950 roku tam dotarli, jeszcze przez kilka miesięcy wegetowali przy polsko-radzieckiej granicy. Bardzo namawiał tatę, żeby nie przerywał nauki i poszedł do szkoły. – Ale ja muszę paść krowy, przez całe lato

Tarasewicz opowiada

do jesieni, dostaniemy wtedy metr żyta i kartofli – tłumaczył ojciec. – To nic, przyjdiesz, jak będziesz mógł. A na razie zrób takie zadanie, rozwiąż taki przykład.

Także inną kobietę, **Sofiję**, która przygarnęła ich pod swój dach, choć wszyscy zachorowali na świerzb, natarła jakąś maścią, napaliła w ogromnym piecu i po kolei kazała się wsuwać po szyję. Pomogło, wyzdrowieli.

Dziś nie ma już Zaimki, po „naszej ziemiance” pozostał tylko komin, zachowały się natomiast ślady cmentarza. Na nim tata z bratem ustawili prawosławny krzyż.

W muzeum jest też zrekonstruowany barak gułagu, bo do niego także trafiali deportowani. Więźniem łagru Lesopunkt Komi był uczestnik kampanii wrześniowej, prawosławny kapral **Stefan Kowalewicz** (fragmenty jego dziennika zamieściliśmy w majowo-czerwcowym numerze PP/2020). W sierpniu 1941 roku w Tatiszczewie wstąpił do armii Andersa. W muzeum są wystawy poświęcone zarówno armii Andersa, jak i armii Berlinga. I żołnierze armii Andersa, dzisiaj „ci lepsi,” i żołnierze armii Berlinga, dzisiaj „ci gorsi”, to Sybiracy (o przyjęciu do poszczególnych armii często decydował wiek – do armii Andersa przyjmowano tych, którzy ukończyli 18 lat, do armii Berlinga już szesnastolatków). A niektórzy z Sybiraków walczyli też w Armii Czerwonej. Jedni przelewali krew pod Monte Cassino (na cmentarzach wojskowych we Włoszech pochowano 186 żołnierzy wyznania prawosławnego), inni pod Lenino, jeszcze inni, jak mój dziadek Aleksander, pod Budapesztem. Takie to były syberyjskie losy...

Ekspozycję muzealną zamykają powroty ludności cywilnej do zrujnowanego kraju.

Zejść do podziemi, gdzie umieszczono memoriał zbrodni katyńskiej, nie miałam siły.

Ała Matreńczyk
fot. autorka

„Nie opuszczam rąk. Rozmowa z Leonem Tarasewiczem” to wywiad-rzeka, napisany przez Małgorzatę Czyńską, a wydany w znanym wydawnictwie „Czarne”. Że rąk nie opuszcza 64-letni artysta, to rozumiałe. Trudniej natomiast zrozumieć ogromną pracowitość tego obdarzonego niezwykle talentem malarza, a ta też wylania się z książki.

Więcej o bohaterze mówią tytuły rozdziałów niż tytuł książki, np. „W gminie Leon, w cerkwi Leoncjusz”, „Waliły. Tam i z powrotem”, „Kamyk Nowosielskiego”, „Król kur” czy „Pan Profesor tańczy”. Sugerują, że malarstwo nie będzie głównym tematem książki, tylko życie, w nim białoruskość Leona, Walił. Tematem będą też gołębie i kury ozdobne – dziwne i egzotyczne, które chodzą koło domu Tarasewicza w Waliłach albo jadą na międzynarodowe prezentacje ptactwa ozdobnego. I te kury zdominowały ponad dwugodzinną choćby promocję książki w Białymstoku w Akademickim Centrum Kultury.

Leon Tarasewicz, zyskując sławę wykraczającą poza granice Polski, zyskiwał także świadomość inności swojego kraju urodzenia i jego wartości. Nuta rozczarowania, czy nawet ironii, wobec tych, którzy zapominają swojej mowy, pojawia się już na pierwszej stronie książki i wije się dalej. **Małgorzata Czyńska** po raz pierwszy żałuje, że nie zna białoruskiego. Na co słyszy odpowiedź: „Ty się nie tłumacz, bo nie jeden Białorusin swojej mowy nie zna albo nie uznaje, albo udaje, że nie zna, i nie uznaje”. „Inna sprawa, że w czasach mojego dzieciństwa i młodości z językiem białoruskim wiązało się poczucie jakiegoś strachu i wstydu. Nie do pomyślenia było, żebyśmy na ulicy Białego-stoku mówili po naszymu. Ludzie bali się”. I tu szok – do 15-letniego Leona, siedzącego na Starym Mieście w Warszawie podchodzi starszy, chudy pan w garniturze i sandałach i zagaduje po białoru-

sku. „To był fotograf i aktor **Witold Dederko**. Oczy mi latały na prawo i lewo, taki byłem zdziwiony”. Dederko usłyszał mnie, a znał język, bo Dederki pracowali na Białorusi jako zarządcy majątków.

Albo opowiada o latach studenckich. Jechał pociągiem relacji Warszawa-Białystok. Z **Walentym Selwesiukiem** rozmawiał wtedy po białorusku. Wszyscy ostentacyjnie wychodzili z przedziału. Została jedna pani, która tępo patrzyła to w drzwi, to w okno. W końcu nie wytrzymała i zapytała: – Dlaczego zachowują się panowie tak niekulturalnie. „A pani z jakiej wsi Białostoczczyzny? – spytał Leon. – Dlaczego ze wsi? – na to pani. – Po wymowie słyszę. Wtedy rzekła: – A wie pan, gdzie jest Sofipol? Na co usłyszała: – A wie pani, ile kilometrów z Sofipola do Pieriejmy. Wtedy zrobiła się pani czerwona. Bo i przed wojną i teraz miejscowi nazywają Sofipol Pieriejmą.

Z **Tadeuszem Konwickim**, znającym białoruski, nie udało się w kawiarni w Warszawie na Foksal porozmawiać Tarasewiczowi po białorusku. Konwicki zaproponował: „Spróbujmy rozmawiać po polsku, bo byłoby niekulturalnie, gdybyśmy przy większości rozmawiali po białorusku”.

A gdy artysta w 1990 roku w głównym wydaniu „Wiadomości” mówił po białorusku i leciały polskie napisy, „to cały Białystok był w ciężkim szoku, jakbym wymierzył policzek” – to też przywołane w książce.

Skąd ten wstyd, strach, czy poczucie gorszości, które pokutuje w ludziach i jest przenoszone z

pokolenia na pokolenie? – artysta się zastanawia, choć temat nie draży. „Jak się patrzy na te pochody nienawiści ONR-u w Białymstoku, czy marsze w Hajnówce poświęcone „Buremu”, to trudno się dziwić, że ludzie się kryją ze swoją narodowością, że Białorusin odgrywa Polaka”.

I jeszcze jedno: „W Europie na pograniczach wszędzie widzę dwujęzyczne napisy na tablicach drogowych. Są na Litwie, a u nas z tym problem. Jaki był krzyk o białoruskie napisy w Białymstoku!”

A zmiana nazw wsi np. zamiast dawnej *Douhi Brod* polskie Długi Bród. „Więc zmienianie tych nazw to ma być polski patriotyzm? To tylko wandalizm wobec cywilizacji europejskiej”.

„Czasami myślę, że jestem w takiej sytuacji jak Polacy w czasie zaborów”.

Ale środowisko Leona było białoruskie. „Dla mojej mamy istniała tylko nasza mowa, dla niej cały świat był białoruski. Ojciec w domu mówił *pa naszymu*, z obcymi po polsku. My zresztą w szkole identycznie:

na lekcjach rozmawialiśmy po polsku, a na przerwach po białorusku”.

Książka jest opowiedziana tak, że zainteresuje i panią z Mieleszek, i z Walił, ale także inteligenta z Wrocławia czy Gdańska. Jest w niej dużo lokalności, tradycji, wiejskiego obyczajaju, zwyczajności, ale takiej bez „domalowywania”, ale przez to jakby uniwersalnej, bo przecież z takich lub podobnych prowincji zlepił się cały świat. To intelekt chce światu nadać jakąś formę jednolitą, a artysta widzi szczegół, widzi tę prawdę krajobrazu i ludzi. I dlatego pojawiają się tu Mieleszki, arkadia dzieciństwa artysty, Rabinauka, takie wyrazy jak *letaś, toni, lizyny, juszka*, i imiona – Waśka, Wańka, Nadzieja, Nikon. Choć z Nikonem to było tak, że świadomy Białorusin **Roman Szeremeta** nadał swojemu synowi imię Nikon. W gminie twierdzili, że takiego nie ma. A on im wyjaśniał, że jest nie tylko firma produkująca aparaty fotograficzne, ale i imię, co przekładając z greki na polski znaczy zwycięzca, a na łacinę, Wiktor. Ale też Tarasowi, od



którego Tarasewicz, jest blisko do Nikona, bo po grecku Taras znaczy niezłomny, niezwyknięty.

Zainteresowanie się historią rodziny i społeczności wzięło się u artysty z konieczności odbudowania białoruskiego świata tak, żeby pasowało do tego co miał naokoło, bo mu nic nie pasowało, stąd pobieranie lekcji języka białoruskiego u nauczycielki z Bielska Podlaskiego, zgłębianie białoruskiej historii i literatury, szukanie kontaktów ze świadomymi Białorusinami – **Jerzym Turonkiem, Jerzym Geniusem**, lekarzem z Gródka, synem poetki Łarysy, **Janem Żamojcinem, Sokratem Janowiczem, Janem Maksymiukiem**, potem **Eugeniuszem Wappą, Marylą Bazyluk, Jankiem Goworko, Kołą Wawreniukiem, Jerzym Chmielewskim**. To udział w rajdach Bać-

LEON TARASEWICZ TO JEDEN Z NAJWYBITNIEJSZYCH WSPÓŁCZESNYCH MALARZY W POLSCE. Urodził się w Waliłach, w których w jego dzieciństwie wszyscy rozmawiali po białorusku. I to miejsce w swej twórczości uznał za najważniejsze na mapie świata, za punkt odniesienia, ale i życia. W zasadzie nigdy ich nie opuścił – albo do nich wracał, albo mieszkał na stałe. Jako profesor Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, prowadzący pracownię malarstwa, mówił, że dojeżdża z Walił do swego zakładu pracy (240 kilometrów). Tarasewicz nie zagrzebał nigdy swoich białoruskich korzeni. Kiedyś powiedział: „Bez korzeni nie ma kwiatów”. Te korzenie ożywia – jako artysta i będąc drożdżami białoruskiej kultury, choćby w ramach stowarzyszenia Villa Sokrates, której po śmierci Sokra-

ta Janowicza jest prezesem, czy wcześniej współorganizując międzynarodowy festiwal niezależnej muzyki białoruskiej Basowiszczu w Gródku.

W Waliłach przygląda się przyrodzie. Rejestruje jej rytmy lasów, pól, zestawienia barw, ptaki na niebie, człowieka pomija. Rejestruje wewnętrzną dynamikę przyrody, która może obejść się bez człowieka i jego domów, mostów, estakad, pociągów – teź „cywilizacji” nie ma w jego malarstwie, choć u **Jerzego Nowosielskiego** miejski krajobraz istnieje, zastygając jakby w swojej ikonicznej szacie. A Nowosielski był dla Tarasewicza przez dziesięciolecia mentorem, mistrzem, nauczycielem.

Urodził się w 1957 roku, ojciec Bazyli był robotnikiem na białostockich budowach, matka **Nadzieja** (piękne imiona mieli

rodzice – zachwyca się artysta w wywiadzie-rzece z **Małgorzatą Czyńską**) jak każda inna kobieta na wsi „siedziała w domu”.

Po ukończeniu Liceum Plastycznego w Supraślu i Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie stał się od razu postacią artystycznie wyrazistą. Znacznie różnił się od rówieśników. Nie uległ tendencjom „nowej ekspresji”. Bronił czystego malarstwa, bez dodanych sensów, bez „literatury” (nie nadawał swoim pracom tytułów), bez kodów pozartystycznych. Cała jego twórczość to jak kroczenie w stronę malarstwa totalnego.

Już w latach 80. jego obrazy jakby chciały wyjść poza ramy – nie ma w nich zasadniczego punktu kompozycji, dominanty, wokół której „wirowałyby” inne malarskie detale. To było pokazanie rytmu – powtarzających się motywów – pni

Leon Tarasewicz na spotkaniu z czytelnikami, z lewej Małgorzata Czyżyńska
U dołu w trakcie realizacji malatury na schodach w Zachęcie,
Warszawa, rok 2006 (fot. Grzegorz Dąbrowski)

kauszczyzna, to założenie w Gródku dwujęzycznej gazety Haradockija Nawiny / Wiadomości Gródeckie, choć zrobiła się z tego afera („jak można pisać polskimi literami w prymitywnym języku białoruskim!”).

Ale metą dla Leona Tarasewicza stało się podnoszenie kultury białoruskiej, dotychczas traktowanej jako coś swojskiego, ludowego, bez większej wartości, coś czego się unikało, do poziomu partnerstwa z kulturą polską.

Ale książka to więcej niż opowieść o białoruskości, to odmawianie dzieciństwa, nie tylko „kredkami z wiatrakim”, nauki (tkactwa artystycznego) w liceum plastycznym w Supraślu, czyli według artysty czasu straconego, to gra i śpiew w zespole Kameleon *pa naszymu*, to wyprawy rowerowe z Jasiem Szeremetą i pociągami po muzeach sztuki w Polsce, ale i w Pradze, Dreźnie, Lipsku.

I wojsko, czyli „załamka”, szok, poniżenie, po niedostaniu się na akademię. Ale do jednostki w Warszawie trafił. A tam powierzono mu nieoficjalną odpowiedzialność

za całą oprawę plastyczną, czyli na przykład malowanie haseł „Pod przewodem partii budujemy jutro socjalistycznej Polski”. I tak z pędzlem, plakatówką i nożycami przetrwał dwa lata, malując także obrazy o tematyce wojskowej wielkich formatów. Zaprawa na przyszłość?

Dostał się jednak na akademię, jedyny na roku spoza Warszawy. Tyle szczęścia miało tylko siedemnaście osób na 309 zdających. Były jeszcze „miejsca rektorskie”, ale to inna sprawa. „Odstawałem, to prawda” – stwierdzi w rozmowie, ale robił wszystko by zmniejszyć dystans wobec warszawskiej młodzieży, pochodzącej, jak się okazało, głównie z rozwidzionych rodzin. Trafił do pracowni **Tadeusza Dominika**, która była przedłużeniem pracowni **Jana Cybisa** – obaj zrobili duży krok w polskim malarstwie. Dominik nauczył go samodzielnej pracy i obrony siebie samego, przez co miał odwagę wcześniej robić wystawy indywidualne i budować własny przekaz w sztuce, uprawiać



w niej, powiedziałabym, własną syntezę świata oczyszczonego z chaosu i nie zaangażowanego społecznie i politycznie przekazu, a alfabetem tejże syntezy czyniąc kolor – intensywny, mocny, ostro zestawiony, „święcący” (o drodze twórczej artysty, o której w książce nie za wiele, w informacji obok).

27-letni artysta, po poważnym debiucie w warszawskich galeriach, opuszcza stolicę. Ciężarówką, wynajętą za pieniądze otrzymane od **Ireny Szewińskiej** za namalowanie portretów jej dzieci, przewozi z Warszawy rzeczy do Walił. Maluje w domu rodziców – niebawem bierze w dzierżawę budynek pustej szkoły – włącza się w białoruskie życie. I to z Walił rozpoczyna się międzynarodowe życie artysty, na którego prace zwrócił uwagę, chyba jako pierwszy z poza Warszawy,



drzew, bruzd pola, ptaków krążących nad ziemią. Stąd to wrażenie otwartej struktury obrazu, jako kadru większej całości. Liczył się kolor, faktura, światło, czyli wartości czysto malarskie.

Z czasem początkowa oszczędność koloru, z dominacją bieli i czerni, zostanie przełamana, będzie prowadziła w stronę skrajnego natężenia barwy, aż jej „świecenia”, czystości koloru, jakby dziecięcego z nim igrania, w stronę zestawienia intensywnych barw, nakładanych równoległymi pasami lub drobnymi plamkami, co sprawia wrażenie migotliwości, połyskliwości, żywiołowej ekspresji barw.

Tarasewicz bywa, że porzuca tradycyjny blejtram, nawet jeśli ma on kilkadziesiąt metrów kwadratowych powierzchni i idzie w stronę zamalowywania przestrzeni. Kładzie farby bezpośrednio w

salach wystawowych, zamalowując ich schody, podłogi, ściany. Widza wprowadza w obraz. W ten sposób pomalował wnętrze wraz z 27 filarami Muzeum Sztuki w Witebsku (1995), sale Centrum Sztuki Współczesnej – Zamek Ujazdowski (1997).

Podczas Biennale w Sao Paulo (1987) i w „Aperto’88”, odbywających się w ramach weneckiego Biennale, maluje „obraz-dywan”, „obraz-do-deptania”, czyli ścielnie pokrywa barwionym tynkiem akrylowym podłogę polskiego pawilonu. W 2002 wychodzi z malarstwem na barceloński Plaza Real.

W 2003 roku dochodzi do kulminacji poszukiwań artysty. W Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie buduje skomplikowaną konstrukcję ścian, pomostów i korytarzy i pokrywa ją intensywnie zabarwionym cementem. W



Sylwester Bractwa Młodzieży Prawosławnej w Warszawie w prawosławnej świetlicy, rok 1983

Jerzy Onuch, szef Instytutu Polskiego w Kijowie. Omija Białystok. Nie ceni go. Uważa, że opanowali go chłoporobotnicy, a inteligencji tu jak na lekarstwo, dlatego brak mu iskry intelektualnej i sztuki, takiej nie z importu.

Żyje tak intensywnie, pracując także w warszawskiej ASP od 1996 roku, niebawem jako profesor, że nie ma czasu na założenie rodziny, ale musi mieć czas na roczny urlop zdrowotny.

W książce jest cały rozdział o roli Nowosielskiego w życiu Tarasewicza. „Nowosielski był dla mnie punktem odniesienia, jedną z kilku osób, dzięki którym przetrwałem,

nie utraciłem sensu pracy, tej drogi”. Nowosielskiego, którego pierwszy raz spotkał na Świętej Górze Grabarce, nazywa „dowodem na istnienie świata duchowego”, prawdziwym artystą, „a artystów jest niewiele”.

Anda Rottenberg, wybitna krytyczka sztuki i taka sama kuratorka wystaw, która o sobie mówi, że jest prawosławna (mnie też mówiła), odegrała także znaczącą rolę w artystycznym życiu artysty z Walił.

Przedostatni rozdział mówi o miłości artysty do ptaków – gołębi i kur ozdobnych, dla mnie trochę niezrozumiałej, mam na myśli ptactwo egzotyczne, sprowadzane

do Walił, które by mieć jakieś szanse na przeżycie, musi dostawać antybiotyki. Ale ptaki to też, jak malarstwo, są międzynarodową przygodą artysty, wędrującego z nimi po różnych wystawach. Tytuł ostatniego rozdziału „Ikona na drodze” jest raczej mylący.

Oczywiście w książce są i opinie, z którymi nie muszę się zgadzać. Ale jesteśmy różnorodni, co naturalne, a nie miejsce tu na polemiczne myśli.

Rozmowę z Leonem Tarasewiczem przeprowadziła pisarka, dziennikarka i historyk sztuki. Wyszło lekko, czysto, zgrabnie, bez narzucania się prowadzącej wywiad. To duży atut książki. A drugi to graficzny. Niemal wszystkie fotografie z dorosłości artysty wykonał **Grzegorz Dąbrowski**. Podziwiam te portrety. Nie dość, że piękne w kadrze, w kolorze, to jeszcze i „opowiadają” artystę.

Anna Radziukiewicz

Małgorzata Czyńska, *Nie opuszczę rąk. Rozmowa z Leonem Tarasewiczem*, Wołowiec 2021, ss. 184.

„obrazie” pozostawia zastygłe w cemencie betoniarki, kilofy, szufle. Widza wprowadza do totalnego obrazu, w środek jego akcji.

Tak więc wnętrza budynków, ich elewacje, chodniki, place, stają się miejscem do ich artystycznej, barwnej przemiany. Choćby elewację centrum handlowo-rozrywkowego Gemini Park w Białej Podlaskiej pokrył twórca z Walił murałem o powierzchni 450 metrów kwadratowych (2009), na kieleckim Placu Artystów ustawił konstrukcję o powierzchni 200 metrów kwadratowych, z wewnętrznym labiryntem malarstwa i luster (2011). Widzów zaprosił do „bycia w obrazie”, podobnie jak to uczynił w 2005 roku w Galerii Sztuki Współczesnej Muzeum Narodowego Krakowa, czy w lubelskiej Galerii Białej.

Hołdem artysty złożonym mieszkańcom Śląska i jego wielokulturowości, była instalacja, nawiązująca do wieży górniczej „Sztuka do miejsca. Modry”, powstała na otwarcie nowego gmachu Muzeum Śląskiego w Katowicach (2015).

W 2016 roku Tarasewicz w poznańskiej galerii Ego pokazał swój odbiór świata za pomocą różnokolorowych świetlnych kwadratów, dwa lata później w Galerii Foksal, wystawę „Jerozolima”, po wizycie w tym świętym mieście.

Tarasewicz bierze udział w zbiorowych prezentacjach sztuki polskiej za granicą. Ma i wystawy indywidualne w prestiżowych galeriach różnych miast świata, np. dwukrotnie w Berlinie i Frankfurtu nad Menem, czterokrotnie w Sztokholmie, trzykrotnie w We-

nej, Lubece, Mińsku, Tel Avivie, Seulu, Oxfordzie, Glasgow.

W 2021 roku stworzył obraz na płótnie o wymiarach 13,5 na 3,4 metra (46 m kwadr.) „Xylopolis”, który został umieszczony w polskim pawilonie podczas „Expo” w Dubaju („Expo” to największe i najbardziej prestiżowe wydarzenie na świecie, łączące wątki gospodarcze, kulturalne i promocyjne, „Xylopolis” to synteza czterech pór roku pokazana poprzez zmieniającą się las i grę światła).

Leon Tarasewicz w 2000 roku otrzymał Paszport „Polityki”, Nagrodę im. Jana Cybisa oraz Nagrodę Fundacji Zofii i Jerzego Nowosielskich, w 2005 – Srebrny medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis, nadawany przez ministra kultury. W 2011 roku został Kawalerem Orderu Odrodzenia Polski.



Думка українська

Важко уявити медійний простір українського середовища Підляшшя без передач українською мовою «Думка українська». Вже 30 років – з 10 листопада 1991 року – вони транслюються на Польському Радіо Білосток. Зараз можна їх слухати тричі на тиждень – у неділю, понеділок та середу, а також по Інтернету.



«Думка українська» – це програма українською мовою, слухачами якої є, в першу чергу, представники української громади на Підляшші, але також усі, які цікавляться українською культурою, мовою і історією та щоденним життям підляського населення.

Передачі з'явилися як натуральний наслідок ширшої активізації української інтелігенції в регіоні. Особливо важливим був час суспільно-політичних перемін у Польщі на зламі 1980/90 років, коли відкрилася можливість нових, більш формальних ініціатив молодого українського руху. Основним того проявом стало по-

кликання у 1990 році Підляського відділу Об'єднання українців у Польщі, який у 1992 році перетворився в Союз українців Підляшшя. Саме в тому часі започатковано багато ініціатив, які стали фундаментальними для будівництва українського зорганізованого життя на Підляшші.

Багатим на події був, у першу чергу, 1991 рік, який приніс чотири важливі ініціативи, бо ж саме 30 років тому вийшов друком перший номер двомісячника «Над Бугом і Нарвою», почав своє існування фольклорний ансамбль «Родина» з Дуб'яжина, відбувся перший великий український захід – «Музичні діалоги над Бугом» у Мельнику, що започаткував Фестиваль української культури на Підляшші «Підляська осінь», а також з'явилася в ефірі українська радіопрограма.

«Думка українська» вперше прозвучала на хвилях Радіо Білосток 10 листопада 1991 року. Її поява була результатом старань підляських активістів, які звернулися до дирекції радіо з проханням почати транслювати передачі українською мовою. Звертали вони увагу на те, що українці є єдиною національною меншиною у воєводстві, яка немає доступу до громадського ефіру (а свої передачі мали вже в тому часі білоруси та литовці). Виявилось, що не існують ніякі формальні перешкоди.

Першим журналістом «Думки української» став Юрій Місіюк, який для того, щоб вести передачі українською мовою, відбув стажування на Радіо Волинь в Україні. Що цікаве, перша білостоцька програма для українців регіону була підготовлена саме у волинському радіо, та майже без ніяких переробок пішла в ефір.

У 1992 році в «Думці українській» почав працювати Євген Рижик, який дуже активно був задіяний в організацію українських передач в Радіо Білосток. Найпізніше, бо в 1997 році, до журналістського

кола приєднався Славомір Савчук, хоча вже раніше він готував українські програми – як по радіо, так і телебаченні. Сьогодні радіопередачі готує двох журналістів – Євген Рижик і Славомір Савчук.

На початку «Думка українська» це була щотижнева півгодинна передача. Перші теми були пов'язані, перш за все, з презентацією різних проявів народної культури Підляшшя. З одного боку, це був час, коли ще активно діяло багато народних ансамблів та були люди, які пам'ятали колишні обряди і звичаї. Однак, з другого боку, на початку 1990-х ще не існували такі розвинені, як сьогодні, організовані форми української активності – не велось навчання української мови в школах (перші уроки організовано щойно в 1994 році) та не проводжено такої кількості заходів і проєктів.

Звичайно, були побоювання, як до нової передачі поставляться слухачі – чи буде вона їм цікавою та, що головне, чи сприймуть її як «свою». Виявилось, що попри незнання української літературної мови та низьку українську національну ідентичність серед підляшан, «Думка українська» дуже швидко знайшла свого вірного слухача. Тому в 1992 році Союз українців Підляшшя почав зусилля, щоб збільшити ефірний час. Несподівано ці старання підтримало 20 тисяч осіб – а треба пам'ятати, що це не був час Інтернету та швидко розповсюдження інформації. Дякуючи великій підтримці людей удалося видовжити час «Думки української». Зараз передачу можна слухати тричі на тиждень – у неділю (з 8:00 по 8:30 ранку), а також у понеділок та середу (з 18:30 по 18:45 увечері). Окрім того передачі доступні в Інтернеті на сторінці Радіо Білосток. Загальний час їх трансляції становить одну годину.

У передачах можна слуха-

ти репортажі про події Союзу українців Підляшшя та інші українські заходи в регіоні та за його межами, а також розмови та журналістські матеріали про культурну спадщину україномовного населення Підляшшя, її сучасні досягнення та проблеми. Автори не залишають тем, пов'язаних з життям української громади в Польщі, а також подіями та процесами, що відбуваються в Україні. Однак так звана «велика політика» залишається десь на другому фоні, бо головна ідея «Думки української» – це доходити до пересічного слухача, який хоче слухати не про те, що далеко, але близьке і тутешнє. Тому, окрім тем культурного, навчального чи історичного характеру, в програмі з'являються теми пов'язані зі щоденним життям людей на Підляшші. Велике значення має також українська, в першу чергу народна, музика, яка дозволяє підляшанам побачити зв'язок між загальноукраїнською та місцевою культурою.

«Українська думка» за 30 років відіграла дуже важливу роль у будівництві української національної ідентичності серед україномовного населення Підляшшя, та без перебільшення можна сказати, що кількість українців у чергових переписах населення – це також результат 30-літньої щоденної журналістської праці, результатом якої є різноманітні та близькі слухачам програми. І хоча міняються часи та все іде в бік Інтернету, то радіо досі остається важливим засобом масової інформації. Тому слід сподіватися, що «Думка українська» надалі буде мати свого вірного слухача та журналісти (попри певну деградацію місцевої традиційної культури та мови в її говіркових варіантах) весь час будуть знаходити цікаві та різноманітні теми.

Людмила Лабович
фото авторки

Великий забутий

■ Біжучий рік значить 200. річницю народин видатного креничана, великого сына Лемковины – Архієпископа **Йосифа Сембратовича**, Митрополита Галицького.

В метрикальній книзі греко-католицької парохії в Креници, веденій руком о. **Тевдосія Сембратовича** выкаліграфувано ден, місяц і рік народин малого Осифка. Але зачнийме од початку, як повідают Лемкы – зайдме од переду.

Вродил ся Йосиф Сембратович на фарі спомненого свящ. Тевдосія Сембратовича дня 8. листопада 1821 рока. Гімназияльны науки вивчувати зачал в Санчы, кінчыл зас в Перемышли, де талант його достерюг єпископ Йоан Снігурскій і післал го до Відня студиювати богословія. На велию своїх 24 уродин, 7 листопада 1845 рока приял священничый сан заховуючы целибат. Так поступувано приготовлюючи кандидатів на князів Церкви, бо як знаме – так, як православне, тогочасне грекокатолицьке духовенство перед прийнятьом священства вступлювало в брачны звязкы. Вибір кандидата до великих защытів вказувал ся трафным.

О рік Йосиф Сембратович докторизував ся в Римі і обнял становиско префекта Духовной Семінарії во Львові. В році 1853 авансувал на віцеректора Руской Духовной Семінарії во Відни, штобы по пятох роках вернути до Львова, але уж не на „старе сьмітя”, а як доцент, пак професор Львівского Університету. Не загріл ту долго місця. Іщы того самого, 1858 рока покликано го до працы в Congregatio de



propaganda fide (Конгреґация поширюваня віры).

Маючы дуже занять, не забувал о рідній Креници, та в 1865 році приїхал ту зо широкого світа в особливій ціли. Уж як титулярный Назианзинській єпископ прибыл ту, жебы посвятити краєугольний камін під будову новой церкви. Великій будівничий міцно стоячой до днес святыні, о. Віктор Жеґестовській мал подібно повісти товды: – Ту, Владыко, буде начальна кафедра Лемковины.

Традиция не переказала нам што одрюк товды Його Пресвященство Йосиф. Думам – промолчал тоту, милу його серцю дигрессию, уодпорнюючы потомків на смутну будучніст. Його власный смуток не проявил ся іщы товды в реальным виді. Велика личніст кликала го на высоты. Не треба было долго на ні дати. По кілках роках єпископских послуг, дня 18 мая 1870 рока, в цілым достоїнстві засіл на стільци Галицкого Митрополиты. В 49. весні жытя, по роках гейбы недолгих, але трудолюбивых, почув ся ту як на достаточно певным ґрунті. Хоцбы лем прото, што гідніст, якої ся удостоїл дежрано в часах спокою і згідні з традициом досмертні. Почул ся на тілко певным, жебы по дорозі, котру перешол, жмудній, аж до покори консеквентній, вернути... під стріхы, до народу. Не з душом, бо тота николи народу, його найскрытых переконань не лишыла. Вернул з конкретныма діянями.

От, з маленького, затраченого межде горами селечка Камяна блиснул талантом в сандецкій ґімназіі **Миколай Малиняк**, але його отец тесля нич понад ґімназію вытесати му не міг. Завдякы помочы митрополиты Малиняк в 23. році жытя (о рік скоре од меценаса) был уж доктором богословія і, на причынок, філософії. В траґедії, яку принесло му жытя, тіж - ци не перевершыл меценаса? Але не о ним маме днес бесідувати.

Вернийме до Кір Йосифа, Митрополиты, стрібуйме зазрити до його души, той души, частичкы народу. Або – ні, наразі – ні! Дїждїме з тым. Аж мал він буде достаточно дуже часу, жебы побесідувати з нами, пізрити на жытя з горы.

Выжше привул єм латиньску назву інституції, в якої свого часу працювал владыка Йосиф. В ориґіналі (*Congregatio de propaganda fide*) барже ся мі тота назва подабат, а бодай барже оддає ціль діяня того твору. І задумую ся над... куріозама того світа. На „ліпшого” дорадцю в Римі трафити не могли. Адже тота „пропаганда”, починачы од 40-ых років ХІХ столітя, за папы Пія ІХ од нова звернула ся на православный Схід. Не было то – як ся выявит – під душу владыкы Сембратовича. А выявит ся коли буде він уж на становиску митрополиты, выявит ся... в молчаню, в німым призволиню (офіційні на тым становиску чынити того не міг) на діяльніст окрісленой групы галицкых Русинів, тых котры міцно стояли за сохраніньом прадідівских традиций, переконань.

Є рік 1882. В славным місті Лева уж семей тыжден тягне ся голосный „політичний” процес, знаний під гослом „Процес Ольгы Грабар і товаришів” (**Ольга Грабар** – дівка выдатного будителя Русинів Закарпатя **А. Добрянського**). Група священників, во главі з о. Йоаном Наумовичом, і

світской інтеліґенції попереюча, а бодай лем симпатизуюча дужыням селян з Гниличок к. Збаража, котры здецидували ся вернути до православія, остає посуджена о про-руську (-росийську) діяльніст здужаючу до одорваня східной Галичыны од Австріі. Зашмариня то, очевидні, выдумане, бздурне. Розуміют тото присяжны, кед выроky западают, повісти мож, символічны, в однесіню зас до декотрых аж і „уневинняючы”. Та западат єден важкій вырок, уж не од судовоу страны. Його Высокопреосвященство Кір Йосиф отримує безальтернатывну „пропозицію” зречыня ся митрополитого престола.

Котрый то уж раз стелит ся перед ним дорога до Риму? Тяжко зрахувати. Тото лем є знане, тото лем є певне, што то остатня його дорога до „Вічного Міста”. І не стелит ся она – она стає ся дорогом выгнанця. Што за парадокс – быти зосланым до... Риму. Так, то найпевнійше місце для непокірного Русина. Ту має добру охорону, Може спокійні жыти... аж до самой смерти.

Не взрит уж більше його Высокопреосвященство улюбленой Галичыны, рідной Крениці. Ту буде тужыл великом, долголітньом тугом. А там далеко, деси Карпатах тужити будут за ним. Бо часы прийдут паскудны, а на галицкым митрополитым престолі сідил буде ліпкій выслугувач. З глубокым зітхніньом будут споминати вірны Русины Кір Йосифа. А кед уж по Львівскым Провінциальным Соборі выдре ім латиньщина такой вшыткы святости, приїхают до Риму великом делеґациом, хоц лем поклонити ся Його Русиньскій Святости.

– Чом так з Вами зробили, Владыко – звідают (а з нима і я) – ци про тоты марны Гниличкы? Преці Вы ся в тото не анґажували?

– О, видите, діточкы – праві добрі думате – зато мя і выгнали, же єм ся не анґажувал. Зрештом, то был лем претекст. Я бы не

дал знесці трыраменныя кресты. Знеслі мене.

Звiвiсто тече Тыбр памедже горбамі Риму. А деси там, при Piazza Scropha 33 стоiт (ци стоiт?) дiм, в котрым, на 79-ым роцi, 23 жолтня 1900 рока, закiнчыл жытя Йосиф Сембратович.

Петро Трохановскiй
фото **Wikimedia**

Чым трапила ся газета „Czas” в 1876 роцi

Kwestya ruska zawiera się cała w sprawie unii kościelnej. Powiedziano to już dawno, a słowa te coraz bardziej się stwierdzają, im więcej unia jest zagrożoną Wiadomości jakie otrzymujemy z wschodniej Galicyi, przedstawiają stan nader niepokojący. Wpływ encykliki Ojca Śgo do arcybiskupa Sembratowicza był tylko przemijającym, wstrząsnął on chwilowo nieposkalowanej prawowierności Metropolite, ale nie zdołał natchnąć energią i stanowczością wobec ciągłej agitacji schizmatycznej. która umie na chwilę się przyczajać, aby później tem lepiej korzystać z uśpionej czujności. Czujność i troskliwość Stolicy Apostolskiej nie dala się zaspokoić kilkoma rozporządzeniami konsystorzów unickich pozornej tylko doniosłości, ani zadowolić zaręczeniami wierności. Lecz złe zakorzeniło się głębokо, i aby zatrzymać postęp gangreny odstępstwa, trzeba by środków doraźnych, stanowczych, trzeba by zwłaszcza porozumienia i współdziałania tych wszystkich czynników, które porównно są zagrożone dążnością jawnych popleczników schizmy.

Mamy ufność, że nasze słowa nie będą wzięte za przesadę, bo minął już czas, kiedy wszystko, co pochodziło ze źródeł polskich, uważano za wpływ uprzedzenia lub niechęci dla Rusi i unitów.

Za największe nieszczęście w pośród tych kłesk porozbiorowej naszej historii uważamy tę dążność, która od lat niespełna 30tu zaczęła kiełkować, a dziś zdaje się dojrzewać: dążność Rusi galicyjskiej do zerwania węzłów historycznych z Polską, a religijnych z Rzymem.

Кніга пра землі тэлятыцкія

Нядаўна ў сьвет выйшла ўнікальная серыя кніг пра гісторыю мала вядомага куточка Падляшша, які называецца Тэлятычы (Telatycze). Аўтарам чатырохтомніка з'яўляецца Ірына Шыбанавая з Масквы, ўнучка а. Іосіфа Каральчука, праваслаўнага свяшчэнніка, родам з Вэрполя тэлятыцкага прыходу. Яшчэ да выхату кніг, цяперашнім летам, у гэтай вёсцы прайшла вялікая падзея – прэзентацыя карціны «Тэлятыцкая панарама», пра што пісалася ў ліпеньскім нумары СПС.

Тэлятычы сёння гэта нават не вёска, і нават не калонія вёскі. Гэта калонія Анусін (Anusin) вёскі Вэрполь (Werpol) у гміне Нурэц Станцыя (Nurzec Stacja), Семятыцкага павету (powiat siemiatycki). Толькі праваслаўны прыход, як ахоўнік гісторыі, надалей называецца Тэлятыцкім. Зусім недалёка адсюль знаходзіцца старажытны горад Высокае Літоўскае, дзе свае сядзібы мелі Сапегі і Патоцкія. Сёння названы ён проста Высокае, але ад Тэлятыч аддзяляе яго непраходная цяпер дзяржаўная мяжа.

Што звязвае Высокае Літоўскае з Тэлятычамі можна даведацца з гэтага ўнікальнага выдання, пад крыху туманным загалоўкам: «Эспедыцыя через сто лет, 2016-2020 гг. Воспоминания о поездке в Польшу, имение Телятичи-Высоко Литовск».

На самай справе, гэта серыя з чатырох вельмі багатая ілюстраваных альбомаў на рускай мове, у салідным пераплёце, высокаякасна надрукаваных на глянцавай паперы. Месца выдання: Масква. Першы альбом выдадзены ў 2020 годзе, тры апошнія ў 2021. Назвы выдавецтва не знаходзім, таксама як і стандартнай інфармацыі пра кнігу. На апошняй старонцы ёсць

падзяка кампаніі «Издательство Проспект» за «прафесіянальную падтрымку нашага сямейнага праекта пра радаслоўе.»

Значыць, калі праект сямейны, ды яшчэ пра радаслоўную гісторыю, трэба перш за ўсё распавесці пра аўтара і ягоную сям'ю.

Аўтарам праекта з'яўляецца **Ірына Шыбанавая**, масквічка з трэцяга пакалення, але ж родам якраз з Тэлятыч. Даўнім родам. Як згадваецца ў кнізе, прапрадзед Ірыны Шыбанавай **Матэуш Каральчук** паявіўся на тэлятыцкай зямлі (і ў дакументах) у 1861 годзе. На хвалі бежанства 1915 года сям'я знайшлася нейкім чынам у Маскве. Больш за стагоддзе пазьней Ірына сроду Каральчукоў прыехала на гістарычную радзіму ў «экспедыцыю», якіх потым было некалькі. Але на самай справе кніга не толькі пра сям'ю, таму і біяграфічных дадзеных пра аўтара чытач у кнізе знойдзе не так ужо і шмат. Пра што кніга, сама аўтар кажа так:

«Двум важным для нас темам посвящена эта книга:

- история имени Телятичи [...]
- жизни в нем на протяжении 500 лет многочисленных предковладельцев, а также мещан и кре-



стьян, которые по праву могут считать именье Телятичи своим родовым гнездом.»

Вядома, што гісторыя землеўладальнікаў нашмат цікавейшая і лепш дакументаваная, чымсьці гісторыя сялян. У нашай беларускай, мясцовай гістарыяграфічнай традыцыі, мы неяк аддзяляем гэтыя дзве тэмы. Гісторыя беларусаў–сялян гэта адно, а гісторыя польскага панства — другое. Ну, можа калі гаварыць пра больш старыя часы Вялікага Княства Літоўскага, ці нават першае стагоддзе Рэчыпаспалітай, мы неяк можам атаясамлівацца з гэтымі Хадкевічамі, Радзівіламі ці Сапегамі, але ўжо ў XIX ст., не гаварыўшы ўжо пра XX стагоддзе, гэта як бы дзве асобныя гісторыі.

Але не для Ірыны Шыбанавай. У яе бачанні мінулага (ды і сённяшняга) вобразу Тэлятыцкай зямлі, нацыянальнае пытанне не існуе. Сяляне, вяльможы, рыцары і чыноўнікі гладка пераходзяць ад адной палітычнай рэчаіснасьці ў другую, мяняюць мову, веравызнанне і з лёгкасьцю працягваюць гарманічнае жыццё. У пэўным сэнсе яно так і ёсьць, асабліва калі глядзець з перспектывы сённяшняй Масквы. Думаю, што кніга можа выклікаць такую рэфлексію і дазволіць глянуць на нашу гісторыю неяк з больш далёкай перспектывы і без палітычных ацэнак.

Дарэчы, аўтар вельмі стараецца іх пазбягаць, трактуючы гістарычныя працэсы як нешта не

падлягаючае асабістай ацэнцы, а тым больш нейкай публічнай палеміцы. Яе захапляюць лёсы людзей, іх насычаныя падзеямі біяграфіі. Вядома, што гэтыя персанажы не Тэлятыцкія сяляне, але людзі з баярскіх і княжацкіх радоў Есіповічаў, Быкоўскіх, Сапегаў, Патоцкіх і іншых. Нават калі іх сувязь з тэрыторыяй досьледаў мінімальна, аўтар адпраўляецца ў падарожжа з імі ў Пецярбург, Адэсу, Парыж і снуе цікавую аповесць, дабаўляючы ў яе бэлетрыстычныя дэталі, як для прыкладу ў апісанні рамансу Караліны Сабаньскай з Адамам Міцкевічам на ўзбярэжжы Чорнага Мора. Ну што ж, гэтая кніга для «сямейнага чтэння», як сама аўтарка напісала.

Тым не менш, яна патраціла нямала часу на досьледы ў архівах з вельмі неблагім рэзультатам. У кнізе знаходзім на прыклад Інвентар места Тэлятычы з 1677 года, які цяпер захоўваецца ў Мінску ды інвентары XVIII стагоддзя з літоўскіх архіваў. Інвентар з 1754 года стаўся асновай для цікавага апісання быту тагачаснай шляхты на Падляшшы. Усё гэта багата ілюстравана рысункамі–рэканструкцыямі, фатаграфіямі, графікай і карцінамі. Яны, вядома, робяць усю бытавую карціну больш нагляднай і ўплываюць на ўяўленне, але для ўважлівага чытача ёсьць тут і праблема ў тым, што матэрыял для ілюстрацыяў падабраны быў без асаблівай увагі для яго аўтэнтчнага, гістарычнага кантэксту. Таму знаходзім у кнізе і нідэрладзкія

ландшафты XVII стагоддзя, і карціны французскага пейзажыста Жуля Дюпрэ з XIX стагоддзя, ды наогул многа з еўрапейскага і расейскага жывапісу XIX стагоддзя з выявамі палявых работ і сялянскага быту, няважна ў якім кутку Эўропы.

З другога боку, знаходзім і унікальныя фатаграфіі пачатку XX стагоддзя з маёнтку Тэлятычы. Бо так яны апісаны ў адрозненне ад вялікай колькасці фота агульнага характару. Тым не менш, нельга не адзначыць, што багаты ілюстрацыйны матэрыял робіць альбом прывабным для шматразовага пераліствання і дазваляе асоіць кнігу ва ўспрымальнай манеры, зусім іншай, чымсьці сухія працы прафесіянальных гісторыкаў.

Яшчэ больш уражвае асабісты характар кнігі. Яе паўстанне, гэта рэзультат «экспедыцыяў», арганізаваных Ірынай Шыбанавай. У іх удзельнічаюць члены яе сям'і і сябры, але таксама ў якіх яна сустракае мноства людзей, якія дапамагаюць збіраць матэрыял на месцы, ці ў архівах. Амаль заўсёды адносяны з гэтымі людзьмі становяцца вельмі цёплымі і асабістымі, і часта пераходзяць у сяброўства. На прафесіянальным узроўні Ірына Шыбанова наладзіла адносіны з рэдактарам «Бельскага» і «Мельніцкага Гостінця» **Дарафем Фіонікам**. Фрагменты тэлятыцкай манаграфіі друкаваліся ўжо на старонках гэтых выданняў. На самай справе, кніга дае матэрыял на некалькі дзесяткаў аддзельных артыкулаў.

Будзем спадзявацца, што так яно і будзе, таму што шкада было бы, каб вялікая праца выкананая аўтарам засталася толькі ў сямейным крузе. Чатырохтомны альбом ніяк жа не распаўсюджваецца і набыць яго немагчыма. Хацелася бы, каб трапіў хаця б ў бібліятэкі. Што датычыць архіўных дакументаў, то добра было бы зрабіць іх

Удзельнікі экспедыцыі па Тэлятыцкай зямлі на Замчыску каля Барысаўшчыны, кастрычнік 2019 г., справа: Уладзімір Мельнічук, Уладзімір Шыбанаў, Ірына Шыбанава, Марына Паніна, Аляксей Шчукін, Яраслаў Кутына, Андрэй Харыла, Ірына Калганова, Марк Дзмяновіч, Дарафей Фіонік



адмысловае факсімільнае выданне. У кнізе яны часта выкарыстоўваюцца проста як ілюстрацыйны матэрыял, гэта значыць ўпрыгожваюць выданне, але чытаць іх у такім выглядзе цяжка.

І на канец, агульная рэфлексія: ня глядзячы на багацце нашай гісторыі, яе матэрыяльны астаткі мінімальныя. Замкі, сядзібы, цэрквы былі драўлянымі і найчасцей не засталася ад іх нічога. Трэба сапраўды мець шмат фантазіі, каб на месцы зарослага лесам узвышша прадставіць сабе стары замак, або бачыць вачыма ўяўлення магнацкі двор каля зарослага ставу. Няма матэрыяльных артэфактаў.

Крыху лепш выглядае справа з дакументамі. Можна знайсці параскіданыя па розных архівах усялякія інвентары, люстрацыі, часам запісы судовых спраў ці фінансавых разборак. У большасці выпадкаў, гэта даволі сухі матэрыял, у нейкім сэнсе «археалагічны». Каб мець нейкую візію гістарычнага мінулага трэба, хочаш ня хочаш, ствараць яе віртуальную рэканструкцыю. Магчыма што для гэтага працэсу прыйшла адпаведная эпоха. Цяпер, калі грамадства, культура і мастацтва ўсё больш і больш ідуць у віртуальнасць, можна будзе пачаць працэс рэканструкцыі нашай гісторыі.

Прыехаўшы на замкавую гары ў Бельску можна будзе запусціць аплікацыю на смартфоне, якая правядзе візулізаваны тур па старажытным замку. І так сабе будзем уяўляць мінулае.

Бо без гісторыі сучаснаму чалавеку жыць немагчыма. Раней ці пазней, як паказвае прыклад Ірыны с Тэлятыцкіх Каральчукоў, чалавек звяртаецца да свайго радаслоў'я. Навошта было ёй траціць час і сродкі, каб адкапаць забытыя лёсы роду? І ня толькі роду ў вузкім разуменні сямейных сувязей, але таго роду ад якога узялося слова «народ», у шырокім разуменні супольнасці і гістарычнага агульнага лёсу. «Я веру в силу РОДА!» заяўляе аўтар, «он укрепляет наш дух в сакральном месте наших отчий и дедичей — на Телятицкой земле».

Дзякуем Ірыне Шыбанавай з роду Каральчукоў за яе працу! І мы таксама верым у сілу рода.

Валянцін Сельвясюк
(мастацтвазнаўца)
Фота з архіва
Ірыны Шыбанавай

• Irina Szibanowa, *Эспедиция через сто лет, 2016-2020 гг. Воспоминания о поездке в Польшу, имене Телятичи-Высоко Литовск*, 4 тому, Москва 2020-2021.

Nagroda dla prof. Eugeniusza Mironowicza

Profesor Eugeniusz Mironowicz z Uniwersytetu w Białymstoku, członek Zarządu Białoruskiego Towarzystwa Historycznego, od 1995 roku redaktor naczelny „Białoruskich Zeszytów Historycznych”, w latach 1992-1997 redaktor naczelny ukazującego się w Białymstoku białoruskiego Tygodnika „Niwa”, a w latach 1997-2002 przewodniczący Rady Programowej „Niwy”, aktywny działacz środowiska prawosławnego, został wyróżniony przez Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” Srebrnym Medalem tej organizacji.

■ Interesujące, iż uroczystość nadania nagrody odbyła się na Litwie. Dokonano tego podczas konferencji naukowej „Polacy na Białorusi. Od powstania styczniowego do XXI wieku”. To tradycyjny cykl spotkań badaczy, który od kilku lat dorocznie odbywał się w Grodnie. W tym roku z obiektywnych przyczyn został przeprowadzony w Wilnie. Konferencja organizowana jest przez Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego, a wsparcia udziela szereg innych instytucji, w tym polskie placówki dyplomatyczne, jak w tym roku Ambasada Polska w Wilnie i Konsulat Generalny w Grodnie.

Jak zaznaczono w uzasadnieniu, prof. Eugeniusza Mironowicza nagrodzono w podziękowaniu za pełną zaangażowania pracę naukową i społeczną na rzecz rodaków poza granicami kraju. Przede wszystkim wskazano tu mniejszość polską na Białorusi.

W laudacji prof. dr hab. **Nikołaj Iwanow** z Uniwersytetu Opolskiego

z godnością narodowościową. Urodzony w Polsce, w rodzinie białoruskiej, jest on jednym z najwybitniejszych historyków mieszkających i pracujących w Rzeczypospolitej. Godnie reprezentuje swój naród. (...) Całość jego aktywności naukowej dotyczy szeroko ujmowanych zagadnień dziejów mniejszości białoruskiej w Polsce, mniejszości

go jest kultura i odpowiedzialność za słowa, wytrwałe poszukiwanie prawdy w skomplikowanych relacjach polsko-białoruskich i sumienne rozpatrywanie spraw trudnych, a nawet bolesnych. Profesor Mironowicz aktywnie współpracuje ze Związkiem Polaków na Białorusi. Wielokrotnie występował w audycjach radiowych i telewizyjnych. (...) Nie można pomijać działalności prof. Eugeniusza Mironowicza jako członka grupy do spraw trudnych historyków polskich i białoruskich. Jego obecne odznaczenie jest niewątpliwie znakiem czasu”.

Profesor Mironowicz, występując po otrzymaniu medalu, podziękował za wysoką ocenę jego dorobku naukowego i organizacyjnego, czego efektem jest tworzenie platform dialogu polsko-białoruskiego, bez względu na zmienne relacje między Rzeczpospolitą Polską i Republiką Białoruś. Jak powiedział „Przeglądowi Prawosławnemu” prof. dr hab. **Julian Winnicki** z Uniwersytetu Wrocławskiego, to szczególna nagroda, która trafiła do wyjątkowego badacza. Ukazuje to otwartość na wielokulturowość, umiejętność odpowiedzi na wyzwania współczesności i stanowi docenienie pamięci o przeszłości, co sprzyja rozwijaniu tożsamości oraz podtrzymywaniu więzów społecznych ponad granicami państwowymi.

Adam Bobryk, fot. autor



podkreślił, iż Eugeniusz Mironowicz jest historykiem zarówno polskim, jak i białoruskim. Stwierdził: „Jego osoba symbolizuje to, co było dumą wielonarodowej Rzeczypospolitej – tolerancja polityczna połączoną

polskiej na Białorusi, problematyki naukowo-religijnej na pograniczu polsko-białoruskim, stosunków politycznych między Republiką Białoruś a Polską. Cechą charakterystyczną jego pisarstwa naukowe-

Sami o Sobie. Miesięcznik społeczno-kulturalny. Nieodpłatny dodatek do Przeglądu Prawosławnego
Współfinansowany ze środków Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji
oraz Fundacji im. Księcia Konstantego Ostrońskiego
ISSN 1899-9018 Nr indeksu 371416

Wydawca: Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrońskiego

Redaguje zespół: Andrzej Charyło (sekretarz redakcji), Eugeniusz Czykwini (redaktor naczelny)

Doroteusz Fionik, Natalia Klimuk, Ałła Matreńczyk, Anna Petrovska

Anna Radziukiewicz (zastępca redaktora naczelnego), Dorota Wysocka

Opracowanie graficzne: Dorota Wysocka

Skład komputerowy: Halina Kierdelewicz

Adres redakcji: 15-399 Białystok, ul. Składowa 9; tel./fax (0048 – kier. z zagranicy) 85 742 18 57

e-mail: redakcja@przegladprawoslawny.pl; www.przegladprawoslawny.pl